Nr. 13. We Lwowie dnia 27. marca 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z Monologów Klemensa Junoszy.

GRYMASY.

Sprawiedliwie powiadają ludzie, że jeno daj kurowi grzędę, to on zaraz poczyna się drzeć: „jeszcze wyżej siędę,“ zaś inszemu człowiekowi, żebyś nie wiem co dał, to mu się jeszcze zachciewa: szybki z okna, kafla z pieca, to zaś gwiazdki z nieba. .

Ja ich znam takich grymaśników dokumentnie, bo to koło Warszawy mieszkając, dość się człowiek różnych cudaków napatrzy.

Będzie taki, co łazi po wsi, szuka, na to mówiący, jajka, dasz mu jajko — jużby chciał jajecznicy — najdzie jajecznicę żąda kury, a ma kurę, pyta o ptasie mleko. .

Także cudaki!

Jeno, że płacą sprawiedliwie za każdą rzecz, jakiej im się zażąda...

Ano, niech ich ta.

Dawniej nie znali ludzie tego, co teraz.

Gdzie kto mieszkał, to i mieszkał: chłop w chałupie, dziedzic we dworze.. insze państwo i żydy w Warszawie.

Teraz im się zachciało letkiego powietrza i aby jeno lato, zaraz ci z pięknych pokojów warszawskich pcha się to precz do chłopskich chałup według tej letkości.

Gospodarze mają ztąd zarobek... I ja także gospodarz jestem, nazywam się Grzępiel, po imieniu Franciszek, chałupę mam i gości z Warszawy co roku.

Dla nich to kosztu nie żałowałem, dwa pomieszkania z chałupy robię, a sam z kobietą i dziećmi do stodoły się na lato wynoszę... Dwa pomieszkania zrobiłem i rewerendów dwie, jedna ode drogi, druga od obejścia, precz dzikiem winem obsadzone; piaskiem przed progiem wysypałem, świniom chodzić nie daję do stancji, do państwa prosiąt nie puszczam, psa na uwięzi trzymam, żeby jakiej letniczki bez pończochę nie ugryzł; dogadzam każdemu, jak wrzodowi i myślita, że są kontente?

— A to powiadają: gospodarzu, robaki łażą po ścianach, a to powiadają: gospodarzu, muchy, muchów trzymacie za dużo!

— A jakże — mówię — pani letniczka chce? W zimie muchów niema, bo na to jest lato, żeby były... Inszy zaś robak i w zimie jest, jak na ten przykład świerszcz, co za kominem cirka...

Letniczka mówi, że Niunia się boi tego cirkania i nie może spać. Każcie, powiada tego cirkającego robaka wypędzić...

Jakże ja go wypędzę?

Śmieję się i powiadam, że on mnie nie posłucha, i że na muchy też rady nie mam, bo gdzie jeno zdybuje się bydło, to i muchy za niem idą.

— Bydła nie trzymać na lato, mówi taki letnik... a juści! O mleko wciąż się dopomina, żeby prosto od krowy, żeby w niem kropecki wody nie postało...

Insza letniczka idzie sama patrzeć, jak moja kobieta krowy doi. A juści, ona myśli, że moja kobieta głupia!

O nie! baba też ma swój dowścip, a chociaż insza letniczka będzie ze starozakonnego narodu, przebiegła na wszystkie cztery boki, moja baba znajdzie i na nią sposób.

Niby to skopek przepłucze dla porządku, a z kwarcinę wody na dnie zostawi; letniki zaś smakują, że dobre, jako prosto od krowy.

A no, toć prosto.

Na masło też okrutnie łase i choć już na końcu pomieszkania, pod jesień, jeszcze im się majowego zachciewa, żeby było żółciuchne... Ale i to się im daje, niech ta jedzą i niech płacą. Marchwi, Bogu dziękować, nie brak w ogrodzie, to kobieta maślisko zafarbuje krzynkę na żółto i mają majowe.

A młodych kartofelków. Ha! ha! dość ja się po dworach nachodziłem, szukając nasienia,

które najwcześniejsze. — Świętojanków dostałem doskonałych, ale albo to im dość? Chcą młodych kartofelków zaraz z wiosny.

I to im się robi, bo moja kobieta na każdy sposób sprawna i spekulantna. Bierze stare kartofliska, blaszaną łyżką z nich precz powykrawa maleńkie, w wodzie krzynkę wymoczy, a potem na jeden dzień zakopie w ogrodzie, żeby je ziemią czuć było i żeby się zamorusały!

Takie młode kartofelki mają i jedzą aż inszego i inszą żywot zaboli: potem kwękają, a ja powiadam: — Proszę państwa, juści te młode kartofle szkodzące, bo za młode; koszt duży, a na pożytek nie idzie.

Wiadomo, że koszt musi być duży: w Warszawie ogrodniki po pół rubla za funt takiego drobiazgu biorą, to i ja nie mogę mieć krzywdy. Choć nie tyle wezmę, ale wezmę.

Jeździć okrutnie lubią i zaraz z miejsca pytają: A czy macie konie wierzchowe, a wyjazdowe, a bryczkę?

— A dyć powiadam, mam, a jakże, bo i sprawiedliwie dwie kobylska są do wszystkiego sposobne: pod wierzch, to pod wierzch, do wyjazdu, to do wyjazdu, a do brony, to do brony. Zwyczajnie, jak szkapy. Bryczkę mam, bo przez tych letnich grymaśników wszystko człek musi trzymać — to też kładę wasąg na wóz, siedzenie robię ze słomy i jest bryczka lepsza, niż insza żydowska.

Oj, jeżdżą też jeżdżą! A to do kolei, a to do lasu na majówkę, a to znowu do miasteczka po sprawunki, a to po gości, a to odwieźć gości.

Szkapy dzień w dzień chodzą, chyba, że już wielka ulewa, to mają spokój

Jednemu letnikowi zachciało się wierzchem paradować... pyta:

— Franciszku!

— A co?

— Konia pod wierzch macie?

— Konia nie mam, ale kobyła jest.

— A czy dobrze chodzi?

— Oj, oj... aby jeno na nią kawałek patyka, a twardego, to idzie jak wiater.

— A siodło macie?

— Nie mam.

— A jakże siadacie na szkapę!

— Juści staromodnie, z płotu.

Dumał, dumał, nareszcie powiada.

— Pojadę, ale podścielę sobie dywanik Ile za wynajęcie?

— Niby szkapy?

— A tak.

Poskrobałem się w głowę i rzekłem:

— Rubelka pan da...

Dał bez targu. Licho wie, jak z takim narodem gadać. Szkoda, że nie rzekłem dwa ruble.

Położyłem na szkapie dywanik, podsadziłem letnika, niech se jedzie; ale kobylsko myślało, że do pojenia, do stawu, na wyścigi, jak się kopnie; letnik krzyczy gwałtu, ona jeszcze lepiej, dywanik z pod letnika wyleciał, on spadł.

Szczęście, że na piasek, jeno sobie krzynkę nos zadrasnął.. powiada:

— Niech was licho z takim koniem!

A ja rzekłem:

— Panie, toć mój Wojtek ma dopiero pięć lat i jeździ na niej przez dywana.

Więcej już nie chciał.

Ciężki z nimi los, ale zawdy dochód jest, dogadza się im, bo dogadza. Ja im jajko sprzedam, ja kurczątko, ja kokoszę, kaczuszkę, ja mleko, masło, chleb, z ogrodu wszystko co potrzeba, ja marchewkę, pietruszkę, cebulę, rzodkiewkę, koper, szczypiorek i co jeno dusza zapragnie i biorę tylko krzynkę drożej, niż w Warszawie, bo zawdy mają bez to oszczędność jako że nie jeżdżą sami, nie płacą za furmankę do kolei, za bilet, za dorożkę.

Zawdy im to coś uczyni.

Słomy im sprzedam do sienników, drzewa do kuchni, dogadzam jak wrzodom — no i mam z takich dwóch familijów bez całe lato więcej niż czterysta rubli.

Ale ledwie wytrzymać mogę te grymasy.. A to komin dymi, a to z pułapu się leje, a to się dzieciak mało w kałuży nie utopił na podwórku, a to że kogut za głośno pieje i za wcześnie, jakby przy zegarku taki ptak chodził, a psi szczekają za dużo.

Zeszłego roku narobiły krzyku okrutnego, jako że ziaba jest we studni. Chciały do niej sprowadzać komisyję, doktora, sędziego i witryniarza... Mówię:

— Czegój? Toć ziaba nie topielec, ani wisielec, żeby do niej komisyje zjeżdżały i żywa jest, bo się rucha, a jeżeli zaś nie podoba się wam, że w studni siedzi, to ją wiaderkiem wyciągnijcie, i albo puśćcie, żeby sobie poszła gdzie chce, albo zabijcie, żeby drugi raz we studnię nie wlazła.

Krzyczały, pomstowały, ale dla świętej spokojności kazałem Wojtkowi, żeby odzienie z siebie zrzucił, do studni wlazł i ziabę wyjął.

Sprawił się chłopak dobrze, ziabę w garść wziął i przyniósł letniczce na pokazanie, jako jest zdrajczyni złapana..

Wyrzuciły go za drzwi ze stancji.

Panowie — to znów okrutnie do kart chciwe, gdy im jednego brakuje do czterech, to każdy chodzi taki markotny, jakby mu, na to mówiący, krowa zdechła.

I z tem do mnie przyszli.

Powiada jeden:

— Gospodarzu, nauczcie się grać we winta, będziecie na czwartego.

— Owszem, panie, ale co dostanę za granie?

— Ha, po dwie dziesiątki od „lobra".

Co mam robić? uczę się, bo kto ma letników, to wszystkie grymasy musi znosić. Uczę się i będę grał, ale po dwie dziesiątki nie mogę.

Za tanio.

Niech dadzą po cztery dziesiątki od „lobra" i osobliwie znów, do każdego „lobra" cygaro.

Albo sobie przy kartach z nimi wypalę, albo na zimę schowam, na ten czas kiedy grymaśniki odjadą...

Nie wiem tylko, czy za te „lobry wintowe" nie zażądałem za mało, czym się nie oszukał?

Aleksander Szneider.

Młody artysta, którego imię bywa dziś wymienianem obok imion niemieckich „modernistów" ostatniej daty, urodził się w Petersburgu (stąd rosyjskie zdrobnienie jego imienia, które sobie przyswoił), w r. 1889 wstąpił do drezdeńskiej akademji. Bawił tam atoli tylko 3 lata — niewiele skorzystawszy. Talent jego rozwijał się szalonym lotem — wśród twardych warunków życiowych niezawiśle torując sobie drogi; wreszcie nagle rozbrzmiał rozgłosem szerokim w całych Niemczech artystycznych. Oryginały jego kartonów są własnością częścią jednego z berlińskich Kunsthändlerów, częścią prywatną.

W 17-tu kartonach, tworzących zbiorowe dzieło „Saszy" Schneidra (jeden z nich — pyszny Assyryjczyk oparty potężnem ramieniem o zakrywającą go płytę z napisem — odpada na kartę tytułową), trudno znaleźć jakąś łączność, któraby je wiązała, jeżeli nie w jeden wielki cykl, to przynajmniej w pewien związek ugrupowania. Każdy karton żyje tam odrębnie swą własną treścią, a jeśli kilka z nich dałyby się wyjąć z całego zbioru i położyć w sąsiedztwie ze sobą, to tylko przez wspólność motywów, powtarzam motywów, a nie pomysłów, — szczególnie motywu, zaczerpniętego w postaci Chrystusa, kilkakrotnie się przewijającej, w szerszem lub ciaśniejszem ideowem usymbolizowaniu.

*) W ostatnich miesiącach ubiegłego roku pojawiły się reprodukcyje drzeworytowe prac Szaszy Schneidra Mamy przed sobą właśnie gustownie oprawioną tekę zbiorowego wydawnictwa.

W „Tryumfie ciemności" Chrystus martwy leży na płycie kamiennej. Nad nim, na ciemnem tle potężnie rozpostartych czarnych skrzydeł, stanął szyderca szatan, pojęty odmiennie niż na innych kartonach, jak później ujrzymy, jako szerokie — ale w realnej postaci usymbolizowanie zła.

Olbrzymie skrzydła sieją ciemność tryumfującą, a z twarzy szatana, z jego uśmiechu szyderskiego, ukazującego zęby, z całej postaci jego idzie ku bezwładnemu ciału Chrystusowemu bezmierne urąganie. Wszystkie członki Chrystusa, wyciągnięte na płycie, leżą bardzo dobrze. Głowa martwa odchylona znakomicie; czuje się, że gdyby się tę głowę uniosło, to opadłaby bezwładnie napowrót. Szatan, nagi olbrzym, z długą brodą, z twarzą Assyryjczyka, z nagą czaszką ,przypominającą nieco dolichocefalów, podparty jedną ręką w bok, wybornie urąga.

Odpowiednie temu kartonowi są dwa inne: „Chrystus w piekle" i „Dokonało się". W pierwszym Chrystus z tą samą twarzą, tylko tryumfujący, promieniejący światłem, wpół nagi, stopą gniotąc węża stoi pośrodku z ramionami wyciągniętemi na lewo, ku gromadzie potępieńców wijących się w otchłani i w szalonym ruchu wyciągających ku niemu dłonie, twarzą zwrócony na prawo, gdzie wśród płomieni wydobywających się z czeluści, na pewnego rodzaju kamiennym tronie siedzi Belzebub, brodaty, z rogami, z koroną na głowie — nogi przepełne muskułów wyciągnięte naprzód, głowa pochylona z wściekłością, wzrok wbity w Chrystusa. Za nim śmierć z kosą — w podobnej koronie; obok — parę djabłów, bardziej po ludowemu pojętych, — z rożkami, w różnych postawach lęku i z różnymi wyrazami. Ze stanowiska akademickiego jedność kompozycji zachowana tu zupełnie wzrokiem i ruchem ramion Chrystusa, łączącego obie grupy. Po za tem atoli jest tu jeszcze coś większego. Z postaci Chrystusa, z jego oczu bije światło i rozpościera się w koło jakaś ogromna potęga w pył ścieląca wszystko przed sobą — w szatanie znowu wije się zgnieciona wściekłość. Trudno o większe wyrażenie siły wewnętrznej, niematerjalnej. Czuje się, że ten Chrystus zstąpił tu z mocą straszną — że gdy tu wchodził, podwoje piekielne zadrżały. Wzrok jego nie pada na żadną z postaci grupy piekielnej — ale idzie nieco ponad nią, jakby ją całą miał w swej władzy.

W „Dokonało się" na wyniosłym cyplu skały wielki nagi szatan, w ręku trzymający piszczel ludzki, rozchyliwszy ramiona, pada w tył, jakby ugodzony widokiem ukazującego się przed nim w powietrzu Chrystusa, rozpiętego na krzyżu. Krzyż zarysowuje się jako widmo świetliste; Chrystus dany realnie, z twarzą tą samą, co na poprzednich kartonach, całą

postacią nieco ku szatanowi nachylony, jakby od niego całego szła ta moc powalająca o ziemię, utkwił w nim silny, przenikający wzrok władzcy.

„Powtórne spotkanie“ — to znowu wstrząsająca scena spotkania Chrystusa z Judaszem na sądzie ostatecznym. Chrystus z długimi włosami i długą brodą, z twarzą królów assyryjskich, z nimbem około głowy, siedzi w długiej szacie, ozdobionej cierniami, z dłońmi splecionemi na kolanach i nachylony nieco wpatruje się w klęczącą przed nim postać Judasza. Judasz złamany, obłąkany prawie rozpaczą, z głową w tył odchyloną, wyciągnął ku niemu błagalnie ramiona podając worek ze srebrnikami. Z jednej strony trzyma mu dłoń na ramieniu anioł w długiej wązkiej, archaicznej szacie, pokrytej wyobrażeniami oczu, mającemi wyrażać sprawiedliwość; z drugiej ciemna kosmata postać djabła, już nie wielkiego, potężnego, z poprzednich kompozycji, lecz nie coś z wilkołaka ze świecącemi oczkami, w całości ów z bajki ludowej potroszę komiczny „czarny“ Kuternoga. Za Chrystusem dwóch aniołów trzyma świadectwa męki jego — jeden krzyż, drugi koronę cierniową. W Judaszu odbywa się cały dramat sumienia, znanego pamięcią spełnionej zbrodni. Chrystus zaś tutaj, to nie Bóg, lecz jakiś władzca potężny, nie dobry, jeno bardzo rozumny i bardzo surowy, który usiadł na straszne sądy. Przy tem wszystkiem atoli w jego oczach jest coś ze wzroku magnetyzera łamiącego swą wolą nerwy chorego medjumu. Być może jednak, że to wada reprodukcji drzeworytowej w technicznej stronie rysunku oczu, gdzie i najbardziej subtelna skaza decyduje o wyrazie.

Judasza widzimy jeszcze na następnym kartonie. Wielki, nagi — ze skrępowanemi ramionami, owity cierniem, z długą brodą, włosem zjeżonym, z głową wprzód podaną, dziki rozpaczny, z zamkniętemi w piersiach furjami zbrodni i grzechu, idzie jak drugi Ahaswerus, gnany straszną mocą przekleństwa, nie dającego spoczynku, wśród szklisto jasnej płaszczyzny stąpając po srebrnikach, które mu palą stopy. Tuż przed nim jasne widmo krzyża; w głębi w świetlistej mgle olbrzymia uskrzydlona postać anioła.

W „Eins ist not!“ mamy już nie szerokie symbolizowanie tematów biblijnych, ale motyw religijny użyty tylko do zamknięcia dziejowo-ludzkiej idei, do oddania tragedji idealizmu. Pod krzyżem, na którym widnieją słowa: Równość, Wolność, Braterstwo, stoi Chrystus, nie ten wielki, bohatersko-potężny z poprzednich kompozycji, ale łagodny, cichy ideolog-marzyciel od ziemi oderwany. Stoi, z przymkniętemi oczami i głosi tłumom naukę przebaczenia, ofiar, zrzeczenia się siebie dla bliźniego. W dole morze ludzkich twarzy; każda z nich z innym wyrazem, a wszystkie stępiałe bolem — męką ludzką W dalekiej głębi ciemne, burzliwe tło z dymu i płomieni. Z tyłu z za ramion krzyża szatan — wstrętna, kosmata małpa, wychyla ponad Chrystusem ohydną głowę i zieje szyderczym ognistym oddechem.

W sąsiedztwie dopiero co omawianych kartonów trzebaby położyć także kompozycję zatytułowaną: „Eine Vision“, ze względu na temat, zaczerpnięty z biblji. Motywem były tu początkowe słowa proroka Ezechiela o wspaniałości, z jaką objawił mu się Pan nad rzeką Chorab, opisujące dziwną postać złożoną z czterech zwierząt ewangielicznych, jaka wtedy oczom jego się ukazała. Artysta fantazją poszedł dalej, poza szczegóły biblijnego opisu i dał na tle jasnem, bezpowietrznem nawpół leżącego proroka nad otwartą kartą pergaminową, twarzą zwróconego ku unoszącej się tuż nad nim, fantastycznie na szerokich skrzydłach ludzkiej postaci, o potrójnej głowie człowieka, byka i orła. W kompozycji brak zupełnie tajemniczego pierwiastka wizji — jest natomiast doskonała technika rysunku w locie unoszącej się postaci.

Oprócz powyższych kilku kartonów, które jak wspomniałem poprzednio, dadzą się związać wspólnem źródłem czerpanych motywów, pozostałe nie przedstawiają nawet tak luźnej łączności. (D. n.)

Sporne terytorja.

(Ciąg dalszy).

Bardziej ponad obrazowania, koloryt i słowa pieśni uderza wspólność jej muzyki. w której obok nowożytnej budowy widoczny rozmiar lidyjski, noszący znamiona głębokiej starożytności. Słychać go wyraźnie w muzyce słowackiej, ale właśnie o tyle, o ile go ona przyjęła od góralszczyzny, bo się on ciągnie tam, kędy ustają ślady słowackie — przez całe pasmo karpackie, począwszy od zachodnich Beskidów przez wschodni trenczyński, Orawę, Podhale, Spiż, poza Pieniny, poza Beskid wschodni ku źródłom Cissy i górom siedmiogrodzkim.

W analizę równie starożytnych śladów wspólności językowej tych górskich obszarów niepodobna tu się wdawać Dość zaznaczyć, że jeśli takie nazwy jak Z u b e r e c i Z u b r a h l a w a w orawskim, lub T u r z ó w k a w trenczyńskim komitacie ilustrują stary zwierzostan tych stron, to znów badanie nazw takich

miejscowości jak Orawa węgierska a stryjka, lub ubioru jak czuha, (zdzetacyzmowane uha) i perskie cuha (opończa) rzuci niemało światła na pierwotne zaludnienie i stosunki praryjskie w tychże obszarach.

Przechodząc więc od toniki, wprost do plastyki, powiedzmy odrazu, że architektura budowli i ubior ludu zachowały najwyraźniej w całej oryginalnej piękności starożytną wspólność całego obszaru karpackiego. Pan Zawiliński w pierwszem sprawozdaniu podnosząc rysunek zewnętrznej strony chaty skalickiej i jednej jej części, bardzo słusznie zwraca główną uwagę swoją na szczyt, podaje stosunek części jego i analizuje aż ośm odmian ornamentyki jego. Wszędzie wspólną wszystkich podstawą ornamentacyjną są pionowe żeberka na płaszczyźnie szczytowej, począwszy od najdłuższej u wierzchołka szczytu do najkrótszych aż do zaniku po obu krawędziach. Zakończenia owalne lub prostokątne żeberek, w różnym stosunku składają się na wielorakie odmiany typowe. Całość kompozycyjna tych żeberek jest zasadą typu. Jest to tak zwane słońce szczytu; żeberka — to jego promienie. W Skalickiem — jak to widać ze wzorów p. Z. promienie są wszędzie rozbite i równoległe; na Podhalu przeważnie skupione, centralne: od środkowego punktu płaszczyzny szczytowej jako środka słońca idą one rozbieżnie ku bokom trójkątu szczytowego. Ale zdarza się i typ skalicki; widziałem go również i na Orawie, i w Pieninach, i na Spiżu. Najcharakterystyczniejszą odmianą wspólną obu typów, choć nie na wszystkich chatach zachowaną, jest daszek półstożkowy szczytu zwieszający się małym okapem. P. Z. podaje tylko jeden okaz tej odmiany, powołuje się na istnienie jego w „Budownictwie ludowem na Podhalu" dra Matlakowskiego i ubolewa, że nie podał nazwy. Owoż jest to tak zwany pazdur architektury tatrzańskiej, najwspanialej występujący na starych chatach tatrzańskich a jeszcze bardziej w Kezmarku na Spiżu, gdzie ozdobiony nim cały szereg piątrowych domów miejskich z obu stron głównej ulicy. W zredagowanym przezemnie Almanachu Tatrzańskim podałem parę okazów świeżej nobilitacji tego stylu tatrzańskiego, góralskiego na willach budowanych przez p. S. Witkiewicza, a podjętej staraniem jego i całego grona miłośników tatrzaństwa, jak dr. Chałubińskiego, ks. Stolarczyka, ś. p. Dembowskiego, Gnatowskiego i innych Może usiłowaniom ich następców i niezmordowanej wytrwałości Witkiewicza uda się rozpowszechnić styl ten prastary na ziemi naszej i wyprzeć szablony kosmopolityczne naszych architektów, zbierane pele-mele ze świata całego.

Niektóre motywa ornamentacyjne z ubioru górskiego, zwłaszcza z nogawic, czuhy i jej kramli zastosowane są przez p. Gnatowskiego w budowie okazałej willi jego Zakopańskiej, budowanej przez Witkiewicza. Z tem wszakże zastosowaniem nie zawsze idzie w parze ustalenie motywów rodzimych i pierwotnych. Dzisiejsi eleganci podhalscy wbrew dawniejszym — bogato cyfrują nogawice, ale to cyfrowanie biorą z butami palonymi od Madjarów, gdzie zgodnie z orjentalizmem turańskim przeważa w ornamentyce linja kolista gdy w irańskiem, prosta pozioma lub pionowa, albo łamiąca się w prostokąty, trójkąty etc. Te same prostolinijne żeberka, składające się na słońca szczytowe typu promieni równoległych widzimy na czuhach bronzowych Spiża, jako szamerowanie napierśniowe, zastosowane w czamarkach węgierskich, a również na takichże czuhach podhalskich — jako obramienie kołnierza i rękawów. Szkarłatnej barwy biegną tu one w niezliczonej ilości dokoła rękawa lub kołnierza, zachodzą jedna na drugą jak łuska, sterczące kantem do góry, wszystkie na kancie strzyżone, a raczej ząbkowane, jak owe pazdury na szczytach; nareszcie wszystkie zbiegają się w jednem miejscu mankietu, wywijają się w szczyt trójkątowy zupełnie jak na dachu, tworzą pazdur, pod okapem którego w środku płaszczyzny szczytowej niezrównany mistrz krawieczyzny tatrzańskiej słynny gazda Andrzej Słodyczka umieszcza tęczowych barw słońce centralne.

(C. d. n.).

SOCJOLOGJA.

I.

Historja i metoda socjologji.

(Ciąg dalszy).

Twórca pozytywizmu nietylko wystąpił z żądaniem, aby naukę społeczną uprawiano w ten sam sposób, co inne nauki pozytywne (cultiver la science positive à la manière des sciences positives), pragnął on żądanie to spełnić sam w swej „Pozytywnej polityce" i w ten sposób swój systemat pozytywizmu uwieńczyć. Ale w autorze „Pozytywnej polityki" nie znajdujemy już owego prawowiernego pozytywisty, którego uczniem zwał się chętnie Stuart Mill i który w świecie i życiu widział tylko luźne, pozbawione związku oddzielne zjawiska. W drugiej połowie swej naukowej działalności Comte przyszedł do przekonania, że wymaganiom naukowego badania uczyni zadość wówczas dopiero, gdy rozpatrywać będzie życie jego w całości

i z jednolitego stanowiska. Ten nowy pogląd Comte'a przyniósł socjologji i pożytek i szkodę. W pierwszej dobie swej działalności twierdził Comte, że filozofja pozytywna powinna rozpatrywać człowieka, jak każdą inną rzecz, jako cząstkę wszechświata. W przeciwieństwie do tej „metody objektywnej", żądał on obecnie, aby w końcu wszystko tłumaczyć wedle „metody subjektywnej". Materja sama nie tłumaczy w człowieku wszystkiego; raczej inteligencję, która wyjaśnia materję, o wytłumaczenie zapytać należy. Ale jeszcze ponad inteligencją stawia Comte zdolności moralne, uczucie: „w sercu spoczywa zagadka człowieka!" Innemi słowy — wytłumaczenia zjawisk socjalnych szukać należy w ruchu samego życia społecznego, nie zaś w tworzących je osobnikach. W epoce tej dla Comte'a byt realny miały nie pojedyńcze indywidua, a tylko ludzkość, którą on też uczynił przedmiotem swej nauki o społeczeństwie wcale się nie troszcząc o usprawiedliwienie takiego dowolnego podstawienia zamiast pojęcia społeczeństwa pojęcia ludzkości. Ale Comte zmuszony był poniekąd wstąpić na tę drogę, gdyż, jak już wyżej nadmieniliśmy, przy owoczesnym braku faktycznego materjału z dziedziny etnografji i epoki przedhistorycznej inne traktowanie rzeczy było wprost niemożliwe i chyba wyrzec by się musiał autor myśli stworzenia socjologji, tej korony całej jego naukowej działalności. Comte uważał zatem, iż nauka o społeczeństwie musi — tak samo, jak to czynią inne nauki ścisłe — ograniczyć się na zbudowaniu abstrakcyjnej teorji, pozostawiając na stronie niezliczone komplikacje, przejawiające się w wypadkach konkretnych i zająć się poznaniem naczelnych praw, które rządzą zespolonemi czynnościami osobników w owej złożonej istocie — społeczeństwie. Zdawało mu się, że znalazł klucz do tej zagadki w historji, która dostarczyła mu praw dla związków społecznych. Obranej przez siebie metodzie zawdzięcza Comte zarówno znaczenie swych badań, jak i swe błędy. Ona to umożliwiła temu genjalnemu myślicielowi stworzenie wielkiej jego koncepcji filozoficznej i prawdziwe ugruntowanie zdawna upragnionej i pożądanej nauki, aczkolwiek ostatnia w pojedyńczych swych rysach wymagała uzupełnień i poprawek ze strony następnych pokoleń. Z drugiej zaś strony owa „metoda subjektywna" doprowadziła Comte'a do zbyt śmiałych i fantastycznych konstrukcji i otworzyła na ścieżaj wrota wszelakim, zupełnie obcym socjologji i postronnym teleologicznym tendencjom oraz reformatorskim kombinacjom. Jak wiadomo, i sam Comte nie miał dość siły, aby się podobnej pokusie oprzeć. Bezwątpienia, metoda tzw. bjologiczna wprowadzona przez Comte'a do socjologji jest jedyną możliwą drogą, na której da się ująć i zrozumieć ogólny związek zjawisk społecznych. Ale okazuje się ona zupełnie nieprzydatną, gdy chodzi o zbadanie specjalnych związków i — jakby się wyraził Spencer — „bjograficznego" pierwiastku pojedyńczego jakiegoś zjawiska lub instytucji społecznej. Bjologja może wyjaśnić dany proces społeczny gdy jego powstanie jest już znane, ale tego właśnie powstania wykryć nie potrafi. Ile zaś razy bjologja usiłuje kwestję taką rozstrzygnąć na podstawie własnych bjologicznych danych, tyle razy prowadzi ona socjologję na drogę niebezpiecznych konstrukcji aprjorycznych i w wysokim stopniu nienaukowych analogji. Uległ temu nietylko Comte, ale i liczni inni zasłużeni skądinąd socjologowie, którzy wstąpili w jego ślady, jak Espinas, v. Lilienfeld, Schäffle i inni.

Prawie równocześnie z głównemi pracami Comte'a pojawił się — nie badamy tu, czy z zamiarem rozmyślnej opozycji, czy też bezwiednie — szereg pism Quételet'a *) który inną zastosował do badania ustrojów społecznych metodę. Quételet sądził, iż skoro wszystkie twory naturalne posiadają pewną proporcjonalność i utrzymują się tylko za pomocą pewnej określonej stałej równowagi swych części, to i w ustrojach społecznych objawy życia muszą występować prawidłowo i harmonijnie. Za pomocą masowych spostrzeżeń statystycznych usiłował on dowieść, że fakta społeczne rzeczywiście przedstawiają pewną stałość a liczbowy ich wyraz nieznacznie się tylko odchyla od pewnej cyfry przeciętnej i że z kolei te oscylacje są również prawidłowe, idąc po linji krzywej, z której można je a priori wyprowadzić.

Że utalentowane i pracowite badania Quételeta przyniosły również mało bezpośredniego rezultatu dla socjologji, co i usiłowania Comte'a, to jest zupełnie naturalne i tłumaczy się, rzecz jasna, tem, iż statystyka, jako taka, nie może ująć zjawisk społecznych, ani ich wytłumaczyć. Może ona dowieść, że prawa socjologiczne istnieją ale nie może ich sformułować ani wyjaśnić. Przeczuwał to już Bastian, a niedawno przyznał zawodowy statystyk, Mucke. Dostarczyć materjału faktycznego mogła tylko etnologja, która też z całem zaparciem i wytrwałością rzuciła się do obserwowania poszczególnych zjawisk, zadania tak pogardzonego przez Comte'a. Dzięki niezmordowanej pracy takich badaczów, jak Bachofen, Morgan, Lippert, Bastian, Post, Achelis, Westermarck, Wilken i wielu innych, którzy przez dziesiątki lat oddają się podobnym poszukiwaniom, wybiegła nasza wiedza historyczna poza te ciasne ramy, które jej zakreśliła historja tzw. narodów kulturalnych, obejmując teraz

*) Niektóre z nich przetłumaczono na język polski.

najważniejsze fakta z życia społecznego ludów dzikich i — co ma szczególną doniosłość — znaczną część przedhistorycznej epoki ludzkości. Ale wyłącznie na podstawie tych danych, zdobytych przez antropologję, prehistorję i etnologję, nie wolno budować socjologji, która w takim wypadku — jak tego przykładem Letourneau, typowy przedstawiciel czysto etnograficznej metody — nigdy od luźnych wiadomości nie wzniesie się do prawdziwego poznania i zrozumienia zjawisk i musi zrezygnować z wykrycia praw społecznych oraz na zawsze poprzestać na roli czysto opisowej.

(C. d. n.).

☆ Nowe książki. ☆

Poradnik dla samouków. Część I. Matematyka. Nauki przyrodnicze. Pod redakcją: S. Dicksteina, J. Ejsmonda, S. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga, przy współudziale grona specjalistów Wydany przez Aleks. Heflicha i Stanisł. Michalskiego. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dra J. Mianowskiego. Warszawa. Skład główny w redakcji „Prawdy“, Nowogrodzka nr 39. R. 1898. Druk K. Kowalewskiego. Cena 50 kop.

Książka, której tytuł podaliśmy — ma jasno określony cel przez swych redaktorów i wydawców. „Poradnik“ — piszą oni u wstępu — „przeznaczamy dla samouków i dla tych, którzyby samouctwem kierować mogli. W dopisku czytamy ponadto całkiem uzasadnione zdanie, że „książka, jako narzędzie pracy umysłowej, zawsze gra rolę tylko pomocniczą. Właściwszem więc będzie „Poradnik“ przeznaczyć dla „niedouków“, a do tej kategorji wszyscy chyba bez krzywdy dla siebie zaliczyć się możemy: zarówno rzemieślnik z elementarnem wykształceniem, przygotowany zaledwie do czytania książek popularnych 1-go stopnia, jak i wychowanek uniwersytetu, dla którego dana gałąź jest całkiem obcą, lub znaną tylko w zakresie elementarnym“. Wychodząc z takiego punktu widzenia podzielili autorowie — „Poradnik“ nie tylko na poszczególne gałęzie wiedzy, ale także w bibljografji poleconych podręczników i dzieł naukowych — zachowują systematyczny porządek pedagogiczny — dzieląc je zwykle na 3, rzadziej na 2 stopnie, tj. elementarny, średni i ściśle umiejętny, lub też tylko ogólny i szczegółowy (np. w psychologji). Że „Poradnik“ taki — mimo rozwiniętego szkolnictwa jest pożytecznym, ba, nawet niezbędnym dla wszystkich „niedouków“, o tem nie można nawet wątpić. Jeśli np. wszędzie i u nas także zawiązują się w chwili bieżącej t. zw. uniwersytety ludowe, grona młodzieży dla samokształcenia się, wreszcie nawet towarzystwa naukowo-literackie, mające za cel wychylanie się niejako — po za granicę ściśłej specjalizacji i jednostronności fachowej, to jużcić konieczną okazuje się rzeczą, ażeby ten prąd, istniejący już de facto w życiu społecznem, został usystematyzowany także w literaturze naukowej w postaci takich właśnie „Poradników“. A jeśli gdzie — to właśnie w Król. Pol. „Poradnik“ wydany okazuje się wielkiem dobrodziejstwem, a to z powodu niepopularności szkół z językiem wykładowym rosyjskim, tudzież ze względu, że do tych nawet szkół przystęp jest utrudnionym. W Królestwie i innych ziemiach b. Rzeczp. polsk. pod rządem rosyjskim — inteligentny „samouk“ (nie mówiąc już o „niedoukach“) jest wprost postacią typową i wcale nie przeżytą po dziś dzień; to też tam „Poradnik“ — konieczny zresztą mniej lub więcej wszędzie — staje się najnaturalniejszym wynikiem potrzeby społecznej.

Rozpatrując bibljografję książek, polecanych przez „Poradnik“ dla samouków, natrafiamy niejednokrotnie (np. w dziale etnograficznym) na znaczne luki. Pochodzą one jednak nie z winy autorów, ale ze względów wydawniczych. „Poradnik“, przeznaczony jest dla samouków polskich, a więc uwzględnia tylko dzieła polskie i tłómaczenia dzieł obcych na język polski. Tylko tu i owdzie, nawiasowo niejako, wymienione są także dzieła najważniejsze, nie przełożone dotychczas na mowę polską, a to głównie tam, gdzie bez takich dzieł samouk obejśćby się nie mógł, tudzież — jak autorowie sami zaznaczają — dla zachęty, dla tłómaczów. Nie jest także zupełną bibljografja — potrzebnych dla samokształcenia się — książek polskich; niektóre, sądzę — opuszczone zostały dla ich niewielkiej wartości lub przestarzenia się, inne ze względów cenzuralnych, tj. przedewszystkiem te, które wydane zostały w Galicji. Ostatni, tj. niecenzuralny dział jest na razie wcale szczupły, bo wydana dotychczas I-sza część „Poradnika“ obejmuje tylko nauki ścisłe, tj. matematykę i umiejętności przyrodoznawcze; będzie on jednak z konieczności liczniejszym w zapowiedzianej części II-giej, mającej zawierać: lingwistykę, literaturę, historję, filozofję i nauki społeczno-prawne.

Dział matematyczny opracował w „Poradniku“ p. Samuel Dickstein, którego samo nazwisko daje gwarancję nawet dla najmniej z tą nauką obznajomionych, że z „Poradnika“ bez zastrzeżeń korzystać mogą. W ogólnej przedmowie określa p. D. znaczenie matematyki w rozwoju ogólnej umysłowości współczesnej i praktyczne jej zastósowanie w życiu; wreszcie dzieli samokształcenie się na zwykłe trzy stopnie i według nich grupuje systematycznie polecone przez się dzieła, podając przy każdem krótkie streszczenie i ocenę. W ten sam sposób ułożone są także następne działy, tj. przyrodoznawcze. Poprzedza je „Wstęp do nauk przyrodniczych“, napisany przez St. Kramsztyka. Wstęp ten ma wartość sam przez się także, bo przedstawia w popularny, a jednak ściśle umie-

jętny sposób metodę badań przyrodniczych, akcentując si nie współdziałanie dedukcji z indukcją na ogólnej podstawie doświadczalnej. Niemniej określa autor dokładnie wielkie, zasadnicze znaczenie nauk przyrodniczych dla wiedzy i życia, tudzież ich dzisiejszą specjalizację. Mimo tej jednak specjalizacji, istnieje w naukach przyrodniczych zawsze pewna wspólna podstawa, której znaczenie omawia ten sam autor pokrótce w artykule: „Nauki przyrodnicze w ogólności“ (str 39 42) i podaje następnie bibljografję ogólno przyrodniczych dzieł, podzielonych na dwa stopnie.

Poszczególne działy nauki przyrodniczych opracowali w myśl „Wstępu“ p Kramsztyka następujący specjaliści:

1) Wiktor Biernacki: Fizyka i Mechanika (str. 46 — 72).

2) St. Kramsztyk: Astronomja, poprzedzona wyczerpującą przedmową (str. 73—85).

3) Józef Zienkowski: Chemja (pod redakcją Br. Znatowicza).

4) St. Kramsztyk: Meteorologja (str. 101—104) z przedmową, — wskazującą na przyszłościowe dopiero znaczenie tej gałęzi wiedzy.

Działy przyrodnicze w wulgarnem tego słowa znaczeniu „historji naturalnej“ tj. Mineralogję i geologję, botanikę, zoologię, atlasy przyrodnicze, wreszcie: anatomję z hygjeną i fizjologją opracowali również ludzie, znani w nauce polskiej, jako to: J. Morozewicz (mineralogja), M. Halpern (botanika), J. Ejsmond (zoologję), (atlasy przyrodnicze), A. Ślósarski, wreszcie M. Flaum (astronomja etc.) (Str. 105—169).

Nauki antropologiczne — opracował p. L. Krzywicki.

Z ścisłą antropologją łączy p. Krzywicki także nowe umiejętności, wchodzące w zakres ludoznawstwa, tj. etnologję, etnografję i folklor. W istocie rzeczy są to umiejętności, które nie określiły jeszcze ściśle swych zadań i metod; dlategoto często wybiegają znacznie po za ogólne ramy nauk przyrodniczych, to znów łączą się z niemi jak najściślej, podobnie jak — jak np. krajoznawstwo z geografją. W każdym jednak razie wliczenie ich a priori do nauk przyrodniczych jest dzisiaj przedwczesnem; sądzę, że autorowie „Poradnika“ zrobili tak ze względów mniej ściśle umiejętnych, lecz raczej oportunistycznych, bo w istocie trudną było rzeczą wliczać n. p. folklor do socjologji — lub też robić zeń razem z etnologją i etnografją osobny dział. Podobnie przedstawia się sprawa z t. zw. socjo-antropologją, która jak już jej nazwa wskazuje jest niejako pomostem, między naukami przyrodniczymi i społecznemi. W ten też sposób opracował ten dział p. Krzywicki, dzieląc go na antropologję: charakterów, kryminalną, uzdolnień, doboru i antropotechnikę (od str. 170 — 131).

Do nauk przyrodniczych wliczone są w „Poradniku“ także geografja, opracowana przez A. Świętochowskiego i p. Sosnowskiego; tudzież psychologja w opracowaniu A. Mahrburga. Na wliczeniu geografji razem z krajoznawstwem do nauk przyrodniczych, godzi się dzisiaj stanowczo przeważna część specjalistów i sądzę — zupełnie słusznie; słusznie także mojem zdaniem opiera Mahrburg na wiedzy przyrodniczej psychologję, motywując zresztą swój krok wyczerpująco w obszernym artykule wstępnym; inna rzecz, że w szczegółach natraf ten artykuł na zarzuty ze strony zwolenników zasadniczego stanowiska autora, zastrzegającego się np. zawsze przeciw „materjalizmowi“ w psychologji, ponadto znaną jest rzeczą, że wogóle wliczanie psychologji do nauk przyrodniczych natrafia ciągle jeszcze na zaciętą, aczkolwiek wiecej przekonaniową, aniżeli umiejętną — opozycję.

Omówiona 1-sza część „Poradnika“ kończy się dokładną bibljografją książek z zakresu zastosowań nauk przyrodniczych podzielonych również na poszczególne działy, jako to: Mechanika budowlana, materjały budowlane, konstrukcje budowlane obliczanie i budowa mostów, koleje żelazne etc. a więc krótko powiedziawszy bibljografia dzieł technicznych, mająca znaczenie zarówno dla „samouków“, jakoteż dla techników specjalistów, tudzież dla ludzi, chcących się zapoznać z rozwojem społeczno-technicznym w rolnictwie i przemyśle. Bibliografję dzieł rolniczych opracował np. Wł. Gałecki, leśnictwo A. Nowicki, ogrodownictwo A. św i St. Rutkowski, przemysł w poszczególnych gałęziach Wł. Leppert i t. p.

Mamy tedy przed sobą wydawnictwo obszerne obejmujące 400 stron druku, większej ósemki; książkę bezwarunkowo pożyteczną i w wielu razach niezbędną, a ponadto tanią, co wszystko razem sądzę przyczyni się do tego, że „Poradnik“ znajdzie się w rękach całej inteligentnej i dążącoj do inteligencji publiczności polskiej z wielką dla wszystkich korzyścią. *Dr. K. J. Gorzycki.*

Wiadomości bibljograficzne.

Chmielowski Piotr. Obraz literatury polskiej w streszczeniach i celniejszych wyjątkach. Ułożył... Zeszyty 13 i 14. Warszawa 1898.

Drzewicki Józef dr. Mięso, czy pokarmy roślinne? Wskazówki dyetetycznego odżywania się. Napisał. b. ordynator kliniki teraupetycznej wydziałowej cesarskiego warszawskiego uniwersytetu. Warszawa. 1898. Str. 4(

Kosiński Kajetan. O budynkach i ich ozdobi i Ogólne pojęcia o sztukach plastycznych na podstawi ich rozwoju historycznego dla użytku uczniów wyższej szkoły realnej w Krakowie, przez prof szkoły realnej 1898)

Z drukarni Z. Golloba.